Rok 1884. We Lwowie Poniedziałek dnia 24. Września Nr. 34.

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO”

pod redakcją *Stanisława Rossowskiego.*

Do śmierci.

Zostawiono go w pustej chacie — chwilę ogłoszono wyrok: Śmierć o zachodzie słońca.

Zamknięto wrota! Został on i myśli jego z nim.

A myśli te rozwinęły swoje skrzydła, wzniosły się pod gwiaździsty strop nadziemski pobiegły nad morza, zwisły nad niem i pognały nad falami chyżej niż wicher goni, chyżej niż promień światła, niż iskra elektryki.

Minęły morza i krain wiele, dobiegły małego miasteczka, otoczonego wiankiem ciemnych borów i całować poczęły ziemię, mury, pieścić drzew listeczki, dopadły okienka jednego i patrzały wraz z promykiem słonecznym.

Przy oknie stało dziewczę ze snu ledwo rozbudzone, piękne jak ten poranek, co je rozbudził.

I pocóżeś skazańcze posłał tutaj pierwsze z twych myśli ostatnich?

Nie o tobie myślała kobieta, ku której rzuciłeś żegnanie — nie o tobie.

Więc wróciły do niego myśli owe, ale nie powiedziały, co się tam dzieje.

A on czynił teraz rachunek z życia swego. Szedł w przeszłość — rok za rokiem — pewny że zobaczy wszystko, co mu jego życie dało, że nie zadrży widząc, iż stoi na jego szczeblu ostatnim.

O! on kochał to życie. Kochał, bo mu to dziewczę z białego miasteczka kochać je kazało, gdy mówiło: Mnie masz! Mówiło: masz mnie, ale mówiło zarazem nie samo wprawdzie, ale ustami matki: Ale nic więcej nie masz, a tego dla mnie za mało. Usta dziewczęcia nie powiedziały: Mnie dosyć.

Więc ucałował jej rękę i poszedł za: „tam więcej“.

Żył za oceanem, w borach nowej ziemi jak zwierz dziki, nie czuł męki ni głodu, tylko głos, co mu mówił więcej! więcej!

 Rył ziemię i chował złote bryłki do worka skórzanego.

Nie dużo mu już brakowało.

Spał na kamieniu, ale w snach owych anieli grali mu pieśni, ach! — jakie.

I Boga prosił, by mu sił dał, i ziemi prosił, by mu kruszcu nie skąpiła. Nie jemu ale jej. Jej — której duszę ofiarował i źrenicę oczów, gdyby chciał i krew żył. Ale ona nie chciała tak drogich darów; ona daleko mniej żądała.

Teraz wataha indyjska na śmierć go powiedzie.

Przed chatą ktoś śpiewać począł piosneczkę. Jednostajną ale dziwnie jakąś teskną i rzewną. Straceniec odruchowo słuchać począł.

Któryś ze stażników jego bolał nad uczuciami swej wybranki, która nie chciała jego, co miał wigman własny i koni tabun i skór co nie miara, ale jakiegoś biedaka, co prócz rąk pary nic swoim nazwać nie śmiał. Nic! — prócz niej.

I on w ostatnim dniu przed śmiercią musiał osłyszeć taką piosneczkę.

Więc ta indyjska dziewczyna nie mówiła: „za mało“ — nie kazała iść po „więcej.“

Tem lepiej dla niego.

Dziki śpiewać przestał, on długo zatapiał się w dziejach swej duszy.

Widział się dzieckiem małem na rękach matki, co mu do snu nuciła, mówiła: Bądź dobrym! Płakała z nim razem cieszyła się jego radością. Stara matka — on jej wystarczał.

A ty mój siwy ojcze, z twym pogodnem wiecznie czołem, duszą szlachetną i przejrzystą, jak twe oczy błękitne — żegnajcie mi! Żegnajcie, czarno ślniące skiby, rodzinne łąki, poszyte kępami olch, starych, ruczaje, jak dzwoneczki grające modrym gwiazdom niezapominajek, patrzącym w wasze fale, żegnajcie bory brzmiące ptaków pieśnią, żegnajcie jeziora i stawy lśniące od słonecznych promieni dniem od gwiazd nocą pogodną — Żegnajcie mi! Wszystkie znikły — niech tak was ze sobą uniosą.

Stanął u wyrąbanego okienka — wsparł na ręce głowę.. godziny przechodziły, on modlił się ciągnie.

Modlił się jak modlą się kwiaty, ptaki, duchy, — czasem ludzie.

Utonął w mgłach przeszłości, pieścił się nią i żegnał...

Szare barwy nieba poczęły rozpływać się brzegi chmur poczęły zachodzić różowymi rąbkami — noc dobiegała kresu swego. Jego życie też.

Spokojnym był.

Nie obawiał się śmierci; zdawało mu się teraz, że halucynacją była piosenka jego stróża.

Na dworze było coraz jaśniej. Przed chatą ruch się poczynał.

Otwarto drzwi — wśród straży szedł do drzewa przy którem miał spełnić ofiarne zadanie.

Szedł i rzucił raz jeszcze myśli swoje na daleką drugą półkulę — gdzie ciemne bory wiankiem otaczają otaczają białe miasto.

Tam teraz wieczór się robił. Kwitły bzy a ciepłe wiaterki roznosiły ich wonie po świecie.

I poszły one, niosąc, co im kazał — ale nie wróciły doń więcej opowiadać co widziały. I jej nie mówiły — bo i pocóż miały przeszkadzać, tak dobrze jej w lasku było; księżyc tak pięknie świecił, muzyka tak pięknie grała, jej chłopak tak był miłym — wszak lepiej.

Indyjski kapłan wziął nóż kamienny do ręki, próbował ostrza na dłoni, biały człowiek szeptał do wiatru, co leciał mu nad głową: Powiedz żem kochał do końca!

Wsparta na jego ramieniu, szła rozmarzona czarem nocy; on w oczy jej patrzał i pytał o coś cicho, ona ciszej jeszcze odpowiadała, ale myśli wysłane słyszały: Kocham do śmierci.

Ltwocz.

Z literatury symbolistycznej.

Trzy nowe dramaty symbolistyczne Maurycego Maeterlincka wyszły w osobnej książce. Są to: „Alladine et Palamides," „Interieur," i „La mort de Tintagiles." Sam autor nazywa je dramatami dla marjonetek.

W dramacie pierwszym król Ablamore ma siedm córek, które mu umierają, z wyjątkiem Astolaine, zaręczonej z Palomidesem. Król nosi nazwę „le roi sage", i ma białą brodę. Niewolnica grecka Alladine zakochaną jest w Palomidesie ale miłość swą tai przed królem. Astolaine przychodzi do przekonania, że Palomidesa kochać nie może, co króla do wściekłości doprowadza. Palomides zamierza porwać Alladinę, w czem mu sama Astolaine dopomaga, ale w ostatniej chwili młodzian waha się. Król każe wtrącić Alladinę do więzienia, Palomides w czasie snu wykrada mu klucze od ciemnicy. W stanowczej chwili król się budzi, zastaje w więzieniu kochanków, gotowych do ucieczki i rozkazuje wtrącić ich do jaskini podziemnej. Ztamtąd wydobywa ich Astolaine, ale kochankowie są tak wymęczeni głodem i więzieniem, iż kończą żywot niebawem.

W dramacie „Śmierć Tintagilesa" główną rolę gra jakaś stara królowa, królująca gdzieś w ustronnej wieży. Mówią o niej bardzo wiele, lecz sama nie pokazuje się wcale. Królowa boi się ciągle, że ją wnukowie strącą z tronu i wypędzą. Wnuczka jej Igraino i wnuk Tintagiles nigdy jej nie widzieli na oczy. Tintagiles powraca chory zamorza nadto krewni obawiają, się aby nie wpadł w ręce starej królowej. Rzeczywiście na jej rozkaz służba małego Tintagilesa wtrąca do więzienia, gdzie wnuczek królewski umiera.

Z tą treścią, przypominającą najnędzniejsze wybryki romantyzmu, Maeterlinck łączy dykcję ucinkową, suchą, prozaiczną, która jemu samemu wydaje się szczytem realizmu i za którą ktoś bardz trafnie i dowcipnie nazwał jego utwory „dramatyzowanym Ollendorfem". Mglistość i niejasność, umyślnie dla efektu nastrojona zagadkowość treści, budzi zachwyt w nielicznem kółku zwolenników poety belgijskiego, którzy wmawiają w siebie, iż rozumieją to, czego zapewne sam poeta nie rozumie. Symbolizm Maetrlinka, lubo jest niby objawem „sztuki dla sztuki", nawet z tego stanowiska uznania nie znajdzie. Zapewne sam symbolizm ma swoje nie zaprzeczone znaczenie, ale zaiste w dawnej, odwiecznej formie alegorji myśli konkretnych, idei realnych. Nowe formy symbolizmu francuskiego i belgiskiego zaiste przeminą jako przechodnia choroba poezji, nad którą dalszy rozwój sztuki przejdzie do porządku dziennego.

Książę Bismark i jego czasy.

(*Fürst Bismark und seine Zeit von Dr, Hans-Blum. München. C. H. Beck. 1894.*)

Jak wiadomo, żelazny książę przy zdarzonych okazjach, zarówno wielkich mowach swoich, jak i dorywczych, lub prywatnych przemówieniach, nie skąpił luźnych wiadomości ze swego życia i działalności. Jest więc odwagą niemałą postronnemu pisarzowi iść w zawody z autobiografem. A jednak dzieła, broszury, rozprawy, opracowywane przez powołanych i niepowołanych mnożą się ustawicznie i znajdują licznych czytelników. Świeżo wydana książka dra Bluma, która jest dopiero pierwszą połową pierwszego tomu, zwróciła na siebie szczególną uwagę i wyjątkową cieszy się się w Niemczech poczytnością, dlatego mianowicie, że autor należy do tak znanych zaufanych księcia Bismarka i zarówno w Berlinie, jak i w obecnej wiejskiej pustelni. drzwi stały dla niego zawsze otworem. Dr. Blum równie, jak Lothar Bucher, był niegdyś zaciekłym oponentem junkra pomorskiego, obaj zaś następnie przedzierzgnęli się w najżarliwszych jego wielbicieli i najbliższych przyjaciół. Nic też dziwnego, że czytający w książce p Bluma szuka wielu interesujących szczegółów z życia żelaznego księcia, które tylko bliżej stojącemu przy jego osobie mogą być wiadome. I w istocie autor jego nadziei nie zawodzi. Wprawdzie praca jego, będąca pierwszą częścią pierwszego

tomu, obejmuje tylko epokę do odnowienia Bundestagu, obfituje ona jednak w różne szczegóły, które rzucają światło na naturę i charakter twórcy jedności niemieckiej.

Bismark, opowiada dr. Blum, był dobrym wprawdzie, ale nie wybitnym uczniem berlińskiego gimnazjum w „szarym klasztorze". Jego świadectwo dojrzałości miało stopień 2-gi (dobry) a ocena wypracowania łacińskiego brzmiała: „oratio est latina et lucida, sed non castigata" (język jest wprawdzie łaciński i jasny, ale nie jędrny). Odznaczał się on brakiem zmysłu artystycznego. Szczególnie nie miał najmniejszego zamiłowania do muzyki. Uczono go wprawdzie na fortepianie, ale wnet zaniechano tego, albowiem, jak sam Bismark opowiadał malarzowi Lenbachowi: „Łzy mi stawały w oczach na widok czarnych kropek z długiemi kreskami". Najmilej słuchał gry na katarynce, lub na harmonijce, uprawianej wieczorem przez chłopców wiejskich. W życiu swojem słyszał raz jeden operę „Trubadur" i nie mógł sie dosyć wydziwić, że taki tęgi chłop, jak Maurice, może udawać Don Juana. Wogóle nie był on zwolennikiem tenorów W teatrze bawiły go szczególnie farsy. Jako student uniwersytetu w Getyndze, podczas trzech semestrów, najwięcej uczęszczał do kneipy i na salę fechtunkową. Czasami zjawiał się w audytorjum dla wysłuchania prelekcji historyka Hoerena. Długi szczupły, przez kolegów zwane Achillesem niezwyciężonym, był wówczas jako słuchacz prawa przedstawiony księciu pruskiemu, późniejszemu cesarzowi Wilchelmowi, który zobaczywszy go, powiedział: Widzę że prawo wybiera sobie słuchaczów według miary gwardyjskiej. Pomimo to, ów typ prawdziwego lamparta gotowego w każdej chwili zarówno do kufla jak do rapiru i pistoletu. osiadłszy w odziedziczonym majątku pomorskim Kniephof, stał się przez czas pewien przedstawicielem modnego na on czas „Weltschmerzu", W okolicy znano go z szalonych wybryków i skutkiem tego wymawiano jego nazwisko z pewną zgrozą. Wczytywał się głównie w Byrona i Spinozę i popadł w pewną apatję religijną, do której przyłączyła się powoli imaginacja obawy choroby płucnej.. Z mroków tych wyleczyły go po części pobożne usta panny v. Thaden-Tiglaff oraz jego własnej narzeczoej Joanny v. Puttkamer, którą d. 26 lipca 1847 r. poprowadził do ołtarza. Pomimo tego, skłonność do melancholii kołatała się w nim długo.

Z burzliwej epoki między r. 1847 a 1850 autor nie podaje wiele nowych szczegółów. Charakterystyczna jest tylko mowa, jaką Bismark wygłosił d. 2 lutego 1849 r. na zebraniu przedwyborczem w Ralthenow, gdzie po rozwiązaniu pruskiego zgromadzenia narodowego, ponownie postawił swoją kandyturę. Oświadczył on bez ogródek, że jest krańcowym reakcjonistą, iż jako poseł będzie popierał rząd i wszeli wszelkich starań dołoży, aby przywrócić dobre stosunki między rządem a ludem. Przerywał mu wtedy i dogryzał handlarz słomy. Heidenpriem, krzykacz i radykał, odwodząc wyborców.

— Jakto, wołał, chcecie wybierać Bismarka. Ależ on po uszy siedzi w długach. On wam głowy zawraca, a myśli tylko o sobie, aby się się wydostać z błota.

— Kogóż tedy chcecie wybrać? — zapytał Bismark.

— Jedno tylko powiemy — brzmiała odpowiedź — rzadnego Bismarka nie wybieramy, gdyż na samą myśl o Bismarkach skóra mi cierpnie.

Jesteście nie mądrzy — wrzasnął zirytowany junker pomorski.

— Ho! ho! zobaczymy, kto z nas dwóch mądrzejszy, panie v. Bismark — odparł mu zacietrzewiony handlarz słomy.

Na drugi dzień Bismark wybrany został.

Ze stosunków z ludźmi przytacza dr. Blum dwa nieznane dotądj a wielce charakterystyczne szczegóły. Pewnego razu zapytał Bismarka poseł austryjacki o historję medalu ratunkowego, który nosił. Bismark, wyjaśniwszy, że to za wyratowanie własnego stangreta, dodał sarkastycznie:

„Mam zwyczaj czasami ratować człowiekowi życie." Wreszcie interesujące jest pierwsze zetknięcie się żelaznego księcia z samym autorem. Było to w parlamencie niemieckim, podczas zaciekłych rozpraw nad tem, czy królobójstwo ma być karane śmiercią. Wówczas dr. Blum, siedzący wśród national-liberałów, syn Roberta Bluma, który w r. 1848 swoje liberalne przekonania przepłacił śmiercią, powstał i oświadczył głośno:

— „Tak!"

Wówczas na ławach demokratów socjalnych rozległy się wołania:

— „Pfuj!"

W kilka minut ks Bismark polecił wezwać Bluma do siebie. „Wezwałem pana rzekł, wyciągając ku wchodzącemu rękę, aby z nim zawrzeć przymierze nie w interesie żyjących, ale umarłego. Onemi nawoływaniami „pfuj!" chciano spotwarzyć pańską synowską cześć i zagarnąć pamięć ojca pańskiego dla siebie Daję panu do rozporządzenia wszelki wpływ, jaki posiadam w prasie, aby oczyścić z podobnego podejrzenia tę czcigodną postać. Wówczas w roku 1848 i ja byłem junkrem. Gdybym mógł, byłbym wtedy kazał rozstrzelać pańskiego ojca, tak samo, jak zgładziłbym Gottfrieda Kinkela, z którym później żyliśmy na stopie wzajemnego szacunku. Dziś sądzę sprawiedliwiej. Ojciec pański był bardzo liberalny, ale i prawdziwie narodowy. Gdyby dziś żył, siedziałby na tych samych ławach,, co i pan".

— Od tej chwili przylgnęliśmy do siebie, kończy autor

Książka, aczkolwiek zawiera wiele rzeczy już znanych, czyta się jednak z wielkim zajęciem.

Chemik o perłach.

Czem jest dla chemika perła, choćby była największa, najczystsza, choćby była jedną z tych które Kleopatra rozpuściła w czasie uczty wspaniałej? Jest to tylko wydzielina, powstająca przy połączeniu się węglanu wapna z substancją organiczną. Taką prozaiczną, ale zgodną z nauk definicję postawił znakomity chemik, Berthelot, członek paryzkiej Akademji nauk, który w *La Vie Contemporaine* kreśli rolę, jaką odgrywały perły w historji. Ktokolwiek interesuje się dziejami zbytku strojów kobiecych, znajdzie w pracy Berthelota zajmujące szczegółowe.

Poetyczna legenda zowie perły łzami zastygłemi, może dlatego, iż są one czyste, jak łzy i łzy delikatne. Chorują perły, i umierają, gdy znajdą się w nieprzyjaznych dla siebie warunkach. Niema też niklejszego klejnotu nad perły, bo formują się ze składników miękich, czułych na tarcie, na domiar wszelkie kwasy, wilgoć, kurz, pot i t. p. mają na powierzchnię pereł wpływ niezmiernie szkodliwy. Materja organiczna z której formuje się tkanka perłowa, niszczy się łatwo pod wpływem powietrza, co nie zdarza się drogim kamiom, złożonym ze składników czysto mineralnych. Perły chropowacieją, żółkną, a wierzchnia powłoka łuszczy się przy lada zdarzonej sposobności. W starożytności też uważano perłę za organizm żyjący: starzełe się i umiera — mówili uczeni greccy. W muzeach na przedmiotach, pochodzących z wieków średnich, łatwo daje się zauważyć to więdnienie powolne pereł: niema rzędu, w którym nie znalazłoby się kilku pereł pożółkłych, zmiętoszonych przez wieki, jakby schorowanych i skłaniających się ku zanikowi. Niektóre z nich są zupełnie matowe — to perły umarłe.

Niech się dowiedzą elegantki, noszące tak chętnie kolje perłowe na szyjach łabędzich, ile cierpień i potu ludzkiego kosztuje wydobycie jednej perły. Pojawianie pereł odbywa się w sposób w niczem nie zdradzający nowożytnego postępu. Tak łowią się one dziś, jak przed kilkoma wiekami, bo rzemiosło nurków z trudnością przyswaja sobie zdobycze techniki nowszych stuleci. Na łodziach wyjeżdżają dziś poławiacze zupełnie tak, jak to za czasów rozrzutnej Kleopardy bywało. Na wybrzeżach Cejlonu osada każdej barki składa się ze sternika, 10 wioślarzy i tyluż nurków. Ci ostatni szukają muszli perłowych do głębokości 7 — 10 metrów. Nurek, zanim wskoczy do wody, wiesza na sobie kamień okrągły, bez którego, jak korek pływałby na powierzchnię morza. U pasa wisi długi powróz, służący do wyciągania nurków z głębin morskich. Nurek nie może przebywać pod wodą dłużej, jak półtorej minuty, a przez ten czas odrywa muszle za pomocą przyrządu. Napełniwszy worek swój na chybił trafił, ciągnie za sznur osada barki winduje go coprędzej do góry. W ten sposób wytrawny poławiacz zanurza się czterdzieści do pięćdziesiąt razy dziennie w falach zielonawych.

Niewszędzie jednak pracują tak żwawo. Na wyspach Bahrein nurkowie schodzą aż do głębi dwunasto metrowej, a przed wskoczeniem do wody ściskają sobie nos pewnym przyrządem rogatym, uszy zaś zatykają szczelnie woskiem To też nurkowie ci zaledwie 12—15 razy dziennie mogą pogrążać się w wodę. A niebezpiecznem i niezdrowem jest nurka rzemiosło. W wodzie czychają na tych męczenników mody krwiożercze rekiny, a pod koniec dnia roboczego krew sączy się im ustami, nosem, oczami i uszami. Po kilku latach pracy wzrok ich słabnie, ciało pokrywa się nieuczalnemi ranami. Umierają wszyscy prawie w wieku bardzo młodym.

Wydobywanie pereł z muszli jest również zajęciem bardzo przykrem. Muszle, wydobyte z głębin morza, składane bywają na stosy, więdnieją powoli, Potem dopiero wydobywane są perły z wapiennych skorupek. Po oczyszczeniu rozpoczyna się sortowanie według wielkości czystości i blasku. Osobni robotnicy zajmują się dziurawieniem pereł i układaniem ich w rzędy na sznurkach jedwabnch, Perły z wysp Bahrein są ciemniejsze, mniej piękne, niż cejlońskie, ale za to odznaczają się większą trwałością.

Różne, różne czasy zapatrywały się na perłę, jako na ozdobę, wszystkie jednak wieki ceniły tę „łzę morza“. Szymianie uważali perłę za symbol powagi. Cezar w prawie swojem o celebacie zakazał ubierać się w perły kobietom niezamężnym, liczącym mniej niż lat 50. Starożytność nadawała perłom wiele słuszności leczniczych, a wieki średnie uważały ją za antydot przeciw truciźnie. Proszek perłowy miał być skutecznym środkiem przeciwko ukąszeniom zwierząt i wężów. Zazwyczaj proszek ten mieszano z tłuczonemi rogami jelenia.

Największą jednak wziętością cieszyła się t. zw. woda perłowa. Rozpuszczano perłę w soku cytrynowym, occie lub innym kwasie, dodawano nieco cukru, trochę wody różanej, kruszynę poziomek, liści, „wołowego języka“, szczyptę melasy i t. p. Woda w ten sposób spreparowana, miała działać nakształt dzisiejszej emulsji Brown-Sequarda: wzmacniała, odmładniała usuwała niedołęstwo starcze, a nawet, jak twierdzą kroniki niektóre, wprost przywracała życie umarłym. Jak widzimy woda perłowa miała zastosowanie, tak obszerne, iż zawstydziła by niejedno z radykalnych lekarstw nowoczesnych, które dziś moda przy pomocy ogłoszeń dziennikarskich czyni wszechpotężnemi, dopóki nie wymyśli czegoś nowego jeszcze radykalniejszego.